

# Powaga

Niewolnicy pustych i kłamliwych haseł chcieliby to niewolnictwo narzucić wszystkim



Niewolnicy pustych i kłamliwych haseł chcieliby to niewolnictwo narzucić wszystkim - pisze Agnieszka Kołakowska

Pytanie stare jak świat, zadawane przez asyryjskie kucharki, egipskich faraonów, greckich filozofów, rzymskich prawników: dlaczego wszystko wokół jest tak niepoważne i absurdalne? Tylko odpowiedzi, i szczegółowa treść tego „wszystkiego wokół”, różniły się z epoki na epokę.

Nad brakiem powagi właśnie chcę się więc zastanowić (nie zaś nad jej nadmiarem, co by było o wiele zabawniejsze. Skoro jednak brak powagi tam, gdzie powaga byłaby wskazana, często idzie w parze z jej nadmiarem w sprawach, które na nią nie zasługują – trochę tak, jak świętokradztwo często idzie w parze z bałwochwalstwem – może będzie okazja mówić także o jej nadmiarze). Zastanawiam się więc, gdzie jej brakuje w naszym życiu publicznym (i prywatnym), jak ten brak określić i wyodrębnić, i czego jest on objawem.

Chodzi mi tu jednak o powagę w sensie szczególnym, i może nieco innym – skoro epoka jest inna – niż w pytaniach Rzymian, Greków i Egipcjan: o powagę w sensie poczucia odpowiedzialności za własne czyny, własne sądy i własne myślenie; w sensie poważnego traktowania życia własnego i życia państwa. Innymi słowy, o powagę jako rodzaj cnoty, najbardziej może zbliżonej do klasycznej cnoty rozwagi. Czy może nie tyle cnoty, ile niezbędnej podstawy racjonalnego myślenia i działania. To być może brzmi banalnie czy wręcz jak tautologia: w końcu jeśli czegoś nie traktujemy poważnie, to niejako z definicji nie może to nasze niepoważne traktowanie tego czegoś być podstawą racjonalnych działań. A zatem jeszcze inaczej: mam tu na myśli powagę w sensie wysiłku upewnienia się, po pierwsze, co do spójności naszych sądów, a po drugie, co do koherencji między tymi sądami i naszymi działaniami – to znaczy, najprościej mówiąc, konsekwencję. Chodzi więc po prostu o (indywidualną) odpowiedzialność – moralną i intelektualną. Powaga w tym sensie jest spokrewniona z kantowskim pojęciem dojrzałości, polegającej, najogólniej, na posługiwaniu się rozumem.

Oto kilka przykładów zjawisk będących, jak mi się zdaje, przejawami braku powagi w tym szerszym sensie. Są to przykłady bardzo różne, i objawiają różne aspekty tego braku. Są one też, oczywiście, przejawami rozmaitych innych rzeczy, i różnie można je interpretować. Ale brak powagi jest ich cechą wspólną.

Pierwszy przykład to odpowiedź linii lotniczych Alaska Airlines na skargę pani Palin, że przestali rozdawać z obiadem teksty modlitw (podobno wzięte na ogół z Księgi Psalmów). „Religia”, oświadczyła linia lotnicza, „jest niestosowna w samolocie”.

Wydawałoby się, że właśnie w samolocie modlitwa może się przydać. I gdzież – nasuwa się pytanie – byłaby religia stosowna, jeśli nie w samolocie? W pociągu? Na hulajnodze, na rowerze, na ośle? Może konno, ale tylko w trakcie przeskakiwania przez płot? (Erazm podobno oddawał się lekturze podczas jazdy konno, ale nie wiemy, czy Biblię na koniu czytał, czy coś innego).

I oto dociera do mnie kolejna wiadomość w podobnej sprawie: otóż amerykańskie lotnictwo skreśliło Boga z łacińskiego motto jakiegoś swojego urzędu, uzasadniając tę decyzję protestami ze strony Wojskowego Stowarzyszenia Ateistów i Wolnomyślicieli. Prezydent tej organizacji orzekł, że słowo *Deus* jest w motcie niestosowne, ponieważ nie wszyscy wojskowi są religijni: Dodał: „Mamy nadzieję, że lotnictwo stworzy większą równość szans dla ateistów i humanistów w wojsku”.

Przykład ten – owszem, zabawny, lecz także budzący grozę, że coś tak groteskowego ktoś mógł poważnie powiedzieć – jest przykładem tego absurdalnego nadmiaru powagi w błahych sprawach, który idzie w parze z jej brakiem tam, gdzie byłaby pożądana. Nie żeby Pan Bóg był błahą sprawą, oczywiście, choć usuwanie Go z motta, by czasem nie skonfundować wolnomyślicieli w ich wolnym myśleniu – jeśli myśleniem, nawet żalonym, można nazwać coś, co ze słowem *Deus* w motto poradzić sobie nie może – też wydaje się dobrym takiego nadmiaru przykładem. Chodzi raczej o nadmiar powagi, z jaką się traktuje własną osobę i własne „przekonania” i „zasady” – nieprzemyślane, nieprzetrawione, na fali politycznie poprawnych mód schwyte pseudo-przekonania i bezcelowe, absurdalne pseudo-zasady.

Skoro już o tym mowa, nasuwa się też od razu gorszący i idiotyczny spektakl darcia Biblii, jakiego byliśmy świadkami w Polsce. To też można uznać za przykład braku powagi, przynajmniej jednego z aspektów tego braku, w znaczeniu, o jakie mi tu chodzi: przyjmowania własnych wyborów i własnego prawa do wyboru jako wartości najważniejszej – z jednoczesnym zachowaniem sobie prawa do zmiany tych wyborów w każdej chwili. Osobliwa ta dialektyka, ponura i jałowa, jest oczywiście specjalnością relatywistów i postmodernistów, dla których zmiana zasad i wartości z częstotliwością zmiany rękawiczek (słynna „płynność”), ze szczególnym uwzględnieniem własnej tożsamości, a nawet płci, jest rzeczą wręcz chwalebna, i ma świadczyć o ich niebywałej wolności i niezależności. W istocie ich „samowyzwolenie” podobne jest do wyzwolenia przez zwycięską armię sowiecką. Oni jednak, zniewoleni przez własne meta-zasady, w wyzbyciu się reguł, podstaw i pojęcia prawdy obiektywnej widzą wolność. A może też nadzieję na nową rasę: człowieka bez właściwości.

Rzuca się tu w oczy związek z powagą, a raczej z jej brakiem: jest to przykład skrajnego braku intelektualnej odpowiedzialności. Jest to też przykład braku powagi w głębszym sensie, do którego jeszcze powrócę. Powrócę też do roli postmodernistów i relatywistów w tym kontekście.

A oto nieco inny przykład podobnego zjawiska, albo też podobny przykład nieco innego zjawiska.

Angielski sąd orzekł, że modlitwa przed rozpoczęciem zebrania rad miejskich jest nielegalna. Inność tego przykładu czy zjawiska polega, jak łatwo zauważyć, na tym, że tu już nie chodzi jedynie o protesty ateistów ani o prywatne firmy ulegające ich presji, tylko o prawny zakaz. Jest to, innymi słowy, przykład tego, jak brakiem powagi zarazone zostają także podstawowe instytucje państwa. Trudno zresztą powiedzieć, w jaki sposób zaraza ta się rozprzestrzenia: od poziomu państwa w dół czy odwrotnie. Raczej to pierwsze. Ale jest to proces wzajemnego oddziaływania – i oczywiście samo-napędzający się. W obliczu tego, że jednocześnie pozwala się (jak czytam w angielskiej prasie) na masowe publiczne (i to publiczne co się zowie: nie w meczecie, nie w jakimś budynku, lecz *na środku ulicy*) modlitwy muzułmanów, można uznać ten brak powagi – w sensie braku rozwagi, nie zastanawiania się nad dobrem państwa, lekceważenia dobra wspólnego – za tym jaskrawszy i niebezpieczniejszy.

Nie o religii jednak chcę tu pisać, przynajmniej nie tylko i nie głównie, ani o osłach i samolotach. Powyższe kłopoty ilustrują oczywiście wiele zjawisk nowoczesności, nie tylko tak zwaną sekularyzację. Można jednak z powodzeniem przyjąć je jako punkt wyjścia do rozważań o braku powagi.

Warto więc wrócić jeszcze na chwilę do prób – coraz częściej skutecznych – prawnego zakazania wszelkich manifestacji religii. Oczywiście tylko chrześcijańskiej, albo ewentualnie żydowskiej: chciałabym zobaczyć, jak ateści próbują zakazać publicznych manifestacji islamskich. Albo jak publicznie drą Koran. Zbędne chyba dodawać, że – przynajmniej w obecnym klimacie – raczej nie będzie nam dane być świadkami podobnego widoku. To z dwóch powodów. Po pierwsze, dla niektórych – może dla większości – spośród protestujących ateizm nie jest podstawową zasadą ani sprawą główną, lecz raczej obowiązującą częścią politycznej poprawności, jaką wyznają i jaką chcieliby narzucić innym. Innymi jej obowiązującymi składnikami są kultura ofiary i kultura tożsamości grupowej. Zgodnie z tą wizją świata muzułmanie, jako prześladowana mniejszość i ofiary „islamofobii”, mają uprawnienia i przywileje, jakie innym nie są dane. O zakazaniu im czegokolwiek mowy być nie może. Drugim powodem, dotyczących wszystkich, jest strach. Zakazać muzułmanom publicznych manifestacji ich religii nikt by się nie odważył, przynajmniej w Anglii. Skutek tej mieszanki strachu i politycznej poprawności będzie w końcu taki, że islam stanie się jedyną widoczną religią. A z czasem może jedyną dozwoloną. Przyczynianie się do takiego skutku, w imię politycznej poprawności oraz – o ironio – wolności i tolerancji, też wydaje się przejawem tego braku rozwagi i lekceważenia dobra wspólnego, które można nazwać brakiem powagi. Istotne jest, że protesty ze strony wojujących ateistów, jak darcie Biblii czy oburzanie się na Boga w motcie, czy doprowadzanie do zakazu modlitw w radach miejskich, na ogół właśnie w imię „tolerancji” się odbywają. W imię tolerancji nawołuje się *de facto* do końca tolerancji, w imię wolności – do niewolnictwa. Niewolnicy pustych i kłamliwych haseł chcieliby to niewolnictwo narzucić wszystkim.

Kolejny przykład (już bez wyraźnego związku z religią) to plakat Ligi Praw Człowieka, który widziałam niedawno w paryskim metrze. Głosi on, że prawa człowieka są (między innymi) następujące: do mieszkania, do pracy, do wiedzy, do kultury, do zdrowia i do poruszania się.

Pomijając absurdy prawa do pracy czy mieszkania (dobrze nam już znane z konstytucji europejskiej), pomijając nawet zastanawiające prawo do wiedzy, najbardziej uderzające wydaje się „prawo do kultury”. Prawo do kultury? Co miałoby to znaczyć? Gdyby miało to znaczyć prawo do bronienia naszej kultury nawet jeśli jest ona zachodnia, europejska, chrześcijańska czy judeo-chrześcijańska, liberalna, wykluczająca prawo szariatu itd – to proszę bardzo, jestem za; ale raczej wątpię, by takie było zamierzone znaczenie. W zeszłym tygodniu we Francji wypowiedź ministra spraw wewnętrznych w obronie kultury i cywilizacji zachodniej wywołała falę oburzenia i przewidywalne już okrzyki: „Nazista!”. Ośmielił się on być powiedziec jedynie, że powinniśmy bronić naszej cywilizacji (samo to „naszej” już wywołało grozę), że nie wszystkie cywilizacje są równe, że w niektórych jest mniej wolności, niż w innych, że niektóre gnębią kobiety itp. Obrzucająca go wyzwiskami i okrzykami „Nazista!” lewica, rycząca jak jeden mąż w Parlamencie, wyrażająca swoje oburzenie w prasie i wszędzie jeszcze, gdzie się dało, to ta sama lewica, która tak lubi bronić „praw człowieka” i wśród tych praw, które także lubi mnożyć bez ograniczeń, zapewne także do „prawa do kultury” jest silnie przywiązana. Tylko że nic, absolutnie nic to rzekome „prawo” nie znaczy; jest całkowicie wyzute z treści. Zastanówmy się więc: kim jest człowiek, którego przekonania są całkowicie wyzute z treści? I czym są te rzekome przekonania? Jedyna „kultura”, do jakiej

zwolennicy mnożenia uprawnień są przywiązani, to kultura politycznej poprawności, przynosząca to, co nazywamy kulturą ofiar, kulturą zawiści i skarg, kulturą tożsamości grupowej.

Można by mnożyć przykłady, z najróżniejszych dziedzin, w obyczajach, w polityce, w życiu publicznym, przywołując wszystko, co modne i politycznie poprawne, nieprzemysłane i w niczym niezakorzenione, ale traktowane jako ustaloną, niemal świętą mądrość.

Jeszcze innym przykładem jest lekceważące podejście do historii. O tym zjawisku wspomniał niedawno na stronie internetowej Teologii Politycznej Bronisław Wildstein, pisząc w innym kontekście o establishmentie III Rzeczypospolitej, który „nawołuje, aby (...) ‘przeszłość zostawić historykom’” i stara się nas przekonać, że „fundamentalnym błędem jest zajmowanie się przeszłością, która, podobno, nie ma wpływu na teraźniejszość. Sztandarowym dla tej postawy było zwycięskie, wyborcze hasło kampanii prezydenckiej byłego aparacza PZPR, Aleksandra Kwaśniewskiego: ‘Wybierzmy przyszłość’”. Podobne hasła widzimy wszędzie w polityce, we wszystkich krajach: będzie nowe, będzie zmiana, patrzmy w przyszłość. Dlaczego nowe ma być lepsze niż stare, jaka zmiana, z czego na co – nie wiadomo. Są to hasła wyzute z treści, nie stoją za nimi żadne idee. Otumanieni propagandą postmodernistycznej wolności, gdzie wszystko jest tyle samo ważne i tak samo ważne, gdzie istniejemy tylko my i nasze wolne wybory, bez przeszłości, patrząc, jak jednowymiarowe *tabulae rasae*, tylko w przyszłość, która ma przynieść jeszcze więcej uprawnień, by uczynić nas jeszcze wolniejszymi, żyjemy hasłami, sloganami, nie myśląc o tym, co te hasła znaczą, nie zauważając, że nie znaczą one nic. Ta postmodernistyczna wolność stopniowo uczyniła z

nas niewolników, niezdolnych ani do samodzielnego myślenia, ani do podjęcia odpowiedzialności za własne czyny. Niewolników nic nieznaczących haseł.

Wróćmy na chwilę do paru spośród tych przykładów. W pierwszych dwóch uderza traktowanie religii jako rodzaju doczepki – nieobowiązkowego dodatku, który można sobie wybrać lub nie, wraz z kolacją, jak szpinak albo kapustę. Tylko że okazuje się, iż właśnie z kolacją nie można, przynajmniej w samolocie. Ani też w motto, z kolacją czy bez. Ani w angielskiej radzie miejskiej. Nie byłoby to bowiem „stosowne”. Wygląda więc na to, że religia stała się nieobowiązkowym dodatkiem, należącym do sfery prywatnej – jak seks. Można ją praktykować lub nie, ale w domu, ewentualnie w kościele; nie publicznie. Tak samo jak seks wolno praktykować, jeśli nie prywatnie, to w określonych miejscach: w burdelu, ewentualnie na prywatnej orgii. Gdziekolwiek ograniczana też bywa treść (religii czy przekazu religijnego, nie seksu): w niektórych europejskich krajach nie wolno, na przykład, nawet w kościele potępiać homoseksualizmu ani związków homoseksualnych; ksiądz ryzykowałby za takiego rodzaju wypowiedź karę więzienia. (Trzeba jednak raz jeszcze podkreślić, że dotyczy to jedynie religii chrześcijańskiej; o ograniczaniu treści przekazu w islamie mowy oczywiście nie ma, nawet jeśli ta treść zawiera nawoływania do aktów terrorystycznych, do zbrojnej walki przeciwko niewiernym itp.) Uderza więc, mówiąc na razie najogólniej, brak powagi w myśleniu o sprawach ważnych: o człowieku i jego stosunku do, że tak powiem, wymiaru metafizycznego. Wymiar metafizyczny i religijny zostaje relegowany do tego samego porządku, co każdy inny, najbardziej błahy, wymiar życia: do sfery wolnego wyboru. Uderza też, zwłaszcza w przykładzie dotyczącym kłopotów wolnomyślicieli i ateistów, nadmierna powaga w traktowaniu samego siebie.

W przykładzie Ligi Praw Człowieka uderza coś podobnego: wybieramy sobie uprawnienia czy przywileje, które nam się podobają i których następnie się domagamy jako „praw człowieka”. Jak wiemy, praw tych jest coraz więcej. (Według Sądu Praw Człowieka w Strasburgu prawo do życia rodzinnego jest prawem człowieka, wskutek czego w Anglii, gdzie sędziowie uznali, że wymiar sprawiedliwości podlega Strasburgowi, nie można wydalić z kraju nikogo – a w szczególności terrorystów – kto się na to prawo powołuje. Ostatnio członkiem rodziny, do życia rodzinnego z którym oskarżony terrorysta rościł sobie prawo, był kot. W imię prawa do życia rodzinnego terrorysty – ani kota – nie wydano.) I zdają się one nie mieć już wiele wspólnego ani z rządami prawa, ani z tą ideą ludzkiej godności, która leżała u ich podstaw. Zostały jakby oderwane od idei człowieka, idei osoby ludzkiej, a sama ta idea została wypaczona i zbanalizowana, strywializowana. Trudno bowiem poważnie traktować „prawo człowieka” do zdrowia, wiedzy czy kultury. Jak je uzasadnić? Na jakiej podstawie? Oczywiście wszystko można jakoś uzasadnić, ale w ramach wizji świata i człowieczeństwa, która sama nie jest w niczym ugruntowana. Ten brak ugruntowania nie zdaje się jednak nikomu przeszkadzać w mnożeniu uprawnień i nazywaniu ich prawami człowieka. I te właśnie braki – brak argumentów, brak świadomości, że ugruntowanie jest potrzebne, brak racjonalnej debaty – są kolejnym aspektem braku powagi w tym szerokim znaczeniu.

Według tej politycznie poprawnej, nieugruntowanej wizji człowieka, widzianego z punktu widzenia uprawnień, czy wręcz przez swoje uprawnienia określonego, jesteśmy zjawiskiem czysto biologicznym, obdarzonym – nie wiadomo przez kogo – swobodą wyboru i wolną wolą w najbardziej trywialnym tych pojęć znaczeniu. Możemy być czym chcemy; możemy się stwarzać, jak chcemy. Każdy jest własnym stwórcą i każdy swobodnie określa swoje podstawowe wartości. Wyniki badań w

neuropsychologii i innych rozwijających się dziedzinach, których nazwy zaczynają się od „neuro-”, bywają postrzegane jako dowody, że w gruncie rzeczy nie jesteśmy odpowiedzialni za swoje czyny, że nasze decyzje nie są naprawdę naszymi decyzjami i że moralne myślenie jest rodzajem biologicznego instynktu o ewolucyjnym znaczeniu, podlegającego ewolucyjnej interpretacji. Trzeba podkreślić, że same badania bynajmniej nie prowadzą niechybnie do takiego wniosku. (W recenzji kilku książek z tej dziedziny w styczniowym numerze *Prospect Magazine* Roger Scruton dobrze wyartykułował kluczowe tu rozróżnienie: pytanie, pisze on, nie polega na tym, czy wyniki tych badań są prawdziwe, czy nie, lecz raczej na tym, czy umiemy przyjąć je jako prawdziwe, zachowując jednocześnie wiarę w moralność. „Osoba ludzka,” pisze Scruton, „nie jest rodzajem biologicznym ani żadnym innym naturalnym rodzajem. Pojęcie osoby kształtuje się inaczej: nie poprzez nasze próby wyjaśnienia świata, lecz przez wysiłek zrozumienia, nawiązywania wzajemnych relacji, pociągania do odpowiedzialności (...) w świecie pojmowanym jako sfera wolnej woli. Ludzie mają powody do działania, wiedzą, co czynią i że są za swoje czyny odpowiedzialni”). Ale chętnie się je jako takie dowody przyjmuje: bez odpowiedzialności moralnej i intelektualnej życie jest o wiele łatwiejsze.

Oczywiście najchętniej przyjmują je postmoderniści i relatywiści, szczęśliwi, że oto nauka popiera ich przekonanie, iż wszystko jest społecznym konstruktem i że żadnej moralności ani odpowiedzialności nie ma; jesteśmy wolni jak ptaszki, rzeczywistość możemy konstruować jak chcemy, wolni od wszelkich obciążeń. Wprawdzie nauka jest dla nich tylko „dyskursem” czy rodzajem „narracji”, w dodatku ohydnie patriarchalnym; ale skoro nie przeszkadza im to w korzystaniu z jej odkryć – bez wahania, na przykład, latają samolotami – zapewne i tutaj sprzeczność ta im nie przeszkadza.

Do powyższego dochodzi coraz modniejsza nowa dziedzina „stosowanej filozofii”, która problemy w sferze etyki chce rozwiązać przez sondaże – demokratycznie. Odpowiedzialność indywidualną podważają też rządy, rozszerzając sieć państwowej opieki i starając się nas przekonać, że wiedzą lepiej, czego potrzebujemy i jak mamy żyć. A my potulnie się na to zgadzamy, wyrzekając się odpowiedzialności za własne życie, bo tak jest wygodniej i weselej; w zamian mamy chleb i igrzyska.

Kultura uprawnień w naturalny sposób upowszechnia się w parze z polityką tożsamości grupowej, która wyprodukowała kulturę ofiary oraz kulturę skargi i zawiści – wizje świata, w których człowiek jest postrzegany nie jako osoba, istota świadoma swej odpowiedzialności za własne czyny, świadoma swych obowiązków i moralnych powinności, lecz jako obojętny moralnie i wyzuty z wszelkiej odpowiedzialności element pewnej grupy, mogący jako taki domagać się od państwa szeregu uprawnień i przywilejów. Jedyną istotną relacją jest relacja element grupy–państwo. Płaszczyzna porozumienia z innymi – wymagająca przyjęcia indywidualnej odpowiedzialności i poczucia działania w sferze moralnej – całkowicie znika. Znika też, oczywiście, pojęcie jakiegokolwiek wspólnego interesu, pojęcie dobra wspólnego, troska o państwo; znika też zaufanie – podstawa ludzkich relacji. Zjawisko to, wraz z próbą zredukowania osoby ludzkiej do czysto biologicznych instynktów czy chemicznych reakcji w mózgu, przybliżyła nas stopniowo do czegoś, co możnaby nazwać reifikacją człowieka. Człowiek stał się wymienny, jak cegła czy płytką na kuchennej podłodze; liczy się tylko jego przynależność do określonej grupy – kobiet, homoseksualistów, muzułmanów i różnych innych mniejszości. Zbędne dodawać, że nie znajdują się wśród nich ani chrześcijanie, ani Żydzi. Ateiści zaś – owszem, oczywiście.

Tak więc znów, niechybnie, wracamy do religii, choć miało tu o niej nie być. Tak zwana sekularyzacja, która przeradza się teraz, w ostatniej fazie zdumiewająco krótkiego procesu, w zaciekle ataki na chrześcijaństwo i prawne zakazywanie wszelkich jego śladów i przejawów w sferze publicznej, ma swoją głębszą i w pewnym sensie istotniejszą stronę, powiązaną z powyżej naszkicowanymi zmianami w wizji człowieka: polega ona na zburzeniu tradycyjnej wizji człowieka jako części boskiego porządku świata. Małżeństwa homoseksualne są może najbardziej powszechnym i zarazem najjaskrawszym tego burzenia przykładem. Ale także tu istotną rolę odgrywają postępy w naukach i technologiach medycznych: zmiany płci, możliwość rodzenia dzieci w wieku lat sześćdziesięciu, tworzenie komórek plemnikowych z komórek macierzystych wziętych z embrionów płci żeńskiej – co pozwoliłoby parom lesbijskim płodzić dzieci bez uczestnictwa mężczyzn – czy tworzenie komórek jajowych i plemnikowych z komórek macierzystych męskich, co pozwoliłoby męskim parom homoseksualnym płodzić dzieci bez uczestnictwa kobiet. Ponoć niedługo będzie można fabrykować komórki jajowe i plemnikowe z męskich komórek skóry. Gdy dojdzie do tworzenia obu rodzajów komórek z żeńskich komórek skóry, wtedy i kobiety, i mężczyźni będą mogli po prostu klonować dzieci z własnych komórek.

Wszystko to nie jest po prostu kolejną modą, która z czasem minie, jak inne mody; zmiany te wydają się nieodwracalne. Nie tylko te naukowe – nauki przecież nie można powstrzymać – lecz także te, że tak powiem, światopoglądowe. Sama moda na postrzeganie i ocenianie wszystkiego w kategoriach tożsamości grupowej może kiedyś minie, ale obawiam się, że moda ta, wraz z przyzwyczajeniem do gigantycznego państwa opiekuńczego, które przejmuje za nas odpowiedzialność, wraz z przenikającym do najbardziej podstawowych instytucji państwowych

radykałnym ateizmem, wraz z uległością państw wobec gróźb wymierzonych w europejską cywilizację, wreszcie wraz z postmodernistycznym i relatywistycznym podejściem do prawdy i zanikiem racjonalnej debaty – że wszystko to razem trwale zmieniło sposób myślenia o społeczeństwie i osobie ludzkiej.

(Nawiasem mówiąc, warto zauważyć, jak często te politycznie poprawne hasła – hasło świetlanej przyszłości, pozbycia się przeszłości i historii, odrzucenia pojęcia natury ludzkiej czy jej lekceważenia, odrzucenia „burżuazyjnego” pojęcia prawdy – zbieżne są z hasłami komunistycznej ideologii. Lekceważenie tego można chyba uznać za objaw braku powagi w sensie dość podstawowym).

W jakim jednak sensie można powiedzieć, że o brak powagi (między innymi) tu chodzi? Czy te wszystkie przykłady i zjawiska rzeczywiście można połączyć i podsumować tym jednym hasłem? Wydaje mi się, że tak, i to w bardzo prosty sposób. Powyższe próby określenia, w jakim sensie o powagę może tu chodzić, wydają się pasować do rzeczywistości. Wspominałam o rozwadze; o poczuciu odpowiedzialności za własne czyny i za własne myślenie; o pojęciu dobra wspólnego; o zaufaniu do innych w oparciu o założenie, że są oni istotami moralnie i intelektualnie odpowiedzialnymi. Rzeczywiście można powiedzieć, że to, czego dziś w życiu publicznym brakuje, i czego brak jest źródłem wszystkich wyżej wymienionych absurdów, to powaga: w podejściu do innych osób, do dobra wspólnego, do Państwa, do naszej (*sic*, jednak naszej) cywilizacji. Istotnie, gdy się wyzywa od faszystów i nazistów kogokolwiek, kto ośmieliłby się chociażby wspomnieć, delikatnie, o potrzebie jej – tej naszej, europejskiej,

zachodniej, judeo-chrześcijańskiej cywilizacji – obrony, i nikt nie piśnie słowem, znaczy to, że nie traktuje się poważnie ani tej cywilizacji ani, *a fortiori*, potrzeby jej obrony.

Powaga w podejściu do tych rzeczy wiąże się z pojęciem dojrzałości, ale nieco innym, bardziej specyficznym, niż to kantowskie, o którym wspominałam na początku. Kantowskie pojęcie dojrzałości jest tu zbyt szerokie; powagi w sensie posługiwania się rozumem brakuje właściwie wszystkim, którzy posłusznie i bezmyślnie połykają politycznie poprawną ideologię. Tutaj chodzi o sens zarazem bardziej specyficzny i bardziej podstawowy: o dojrzałość w sensie, nazwijmy to, cywilizacyjnym. Jest to właśnie ten głębszy sens, o którym wspominałam powyżej, gdy mowa była o postmodernistach. W tym sensie poważnym podejściem do świata i człowieka jest wysiłek budowania i zabezpieczania: cywilizacji, państwa, społeczeństwa, reguł i prawa. Niepoważnym zaś – i jakże łatwym – jest niszczenie. Powagą w tym znaczeniu jest obrona przed barbarzyńcą, świadomość i ochrona podstawowych wartości, szukanie ugruntowania, nadawanie sensu; niepoważą – burzenie porządku rzeczy, odrzucanie samego pojęcia podstawowych wartości, wpuszczanie barbarzyńcy (w sensie dosłownym i przenośnym), lekceważenie cywilizacji. Przy takiej interpretacji pojęcia powagi znów okazuje się, że postmoderniści i relatywiści – jako niszczyiele – mają może największy udział w tym, co się z naszym światem stało.

Ale jak do tego doszło? Jak doszło do sytuacji, w której się dziś znajdujemy? Jak to się stało, że w najbardziej rozwiniętych demokracjach, w krajach chlubiących się największą wolnością, jakiej nigdy wcześniej nie mieliśmy, staliśmy się niewolnikami? Niewolnikami nowego, narzucanego nam w imię poprawności

politycznej pojęcia człowieka, moralności, naszych ról publicznych i prywatnych, państwa, obywatela, społeczeństwa, osoby? I czy sytuacja ta jest rzeczywiście nowa? Czy zagrożenie jest prawdziwe? Czy też pytanie to jest jedynie powtórzeniem, w nieco inny sposób, tego samego, starego jak świat, egipskiego, greckiego, rzymskiego zawodzenia, *O tempora, o mores*? To się dopiero okaże. Można tylko się modlić (ale nie w samolocie), by w momencie, w którym się to okaże, wolno było jeszcze o tym pisać.

*Agnieszka Kołakowska*

Tekst ukazał się w *Teologii Politycznej* nr 6